

BIULETYN

KAWALIERA



KOŁO NR 21 STOWARZYSZENIA SAPERÓW POLSKICH W DRAWNIE
IZBA HISTORYCZNA ZIEMI PEŁCZYCKIEJ W PEŁCZYZACH

Nr 1/2020

**Z przykrością zawiadamiamy, że po ciężkiej chorobie odszedł z
naszych szeregów wybitny topograf wojskowy**

Ś. P.

**ppłk Ryszard Wandowicz
1935 – 2020**

Podpułkownik WP, były dowódca 94 Wojskowej Składnicy Materiałów Topograficznych w Drawnie. Był absolwentem Oficerskiej Szkoły Topografów, po ukończeniu której pracował w terenie, wykonując lub aktualizując mapy topograficzne. W latach 1965-68 brał udział w pracach grupy wykonującej mapę Tatr. Ogólnie w Oddziale Topograficznym (JW. 1440 w Toruniu) przesłużył 24 lata (1957-1981) na stanowiskach: topograf, starszy topograf, dowódca topogeodezyjnego zespołu polowego grupy topogeodezyjnej. Dowódcą Składnicy (JW. 3781) był w latach 1981-1987. Podczas swojej służby wojskowej był często nagradzany za najlepiej opracowane arkusze map topograficznych. Brał udział w ćwiczeniach na szczebla okręgowego i centralnego, gdzie wykonywał stoły plastyczne dla kierownictwa ćwiczeń. Oprócz odznaczeń państwowych i resortowych (MON) został wyróżniony złotą odznaką „Za Zasługi W Dziedzinie Geodezji I Kartografii”. Niestety na skutek choroby serca musiał zrezygnować z zawodowej służby wojskowej i przeszedł na emeryturę. Rodzinie i Przyjaciołom zmarłego wyrażamy szczere wyrazy współczucia

Redakcja KAWALIERY

asp. rez. P.P. Gerard Sopiński

ppłk w st.spocz. Andrzej Szutowicz

Historia pewnej miłości

W Bernstein (Pelczyce) umilkły kanonady dział i do miasteczka zaczęli przybywać pierwsi niemieccy uciekinierzy oraz polscy osadnicy. Wtedy to zaczęła się jedna z najpiękniejszych historii miłosnych pomiędzy Niemką i Polakiem. Na owe czasy był to związek nieakceptowany przez oba narody, gdyż rany między nimi się nie zabiły. Namiętność Dory i Rościsława Demenko była tak wielka, że nie mogły jej pokonać żadne przeciwności losu. Duża różnica wieku pomiędzy kochankami nie miała żadnego znaczenia. To oni pierwsi pokazali nam, że należy wybaczać największym wrogom. Jednostki nie ponoszą odpowiedzialności za czyny polityków. Kim byli niezwykli małżonkowie i jaki był ich los zanim się poznali ? Oto ich historia.

W dniu 24 maja 1921 roku o godzinie jedenastej przed południem w Bernstein, w mieszkaniu przy ulicy Chausse Str. 168 (ul. Bolesława Chrobrego) przyszła na świat dziewczynka, której nadano imiona Dora Minna Wilhelmina. Głowa rodziny, Ernst Schulz, ur. 12.10.1889 r. był cenionym mistrzem kowalstwa; mama Marta, z domu Schnörock, ur. 10.08.1892r. – gospodynią domową. Z czasem rodzina Schulzów powiększyła się o następną córkę członka, której nadano imię Magda. Wiadomo, że małżeństwo posiadało jeszcze jedną córkę córeczkę, która zmarła we śnie na niewydolność układu krążenia w wieku 10 lat. Została pochowana na miejskim cmentarzu. Mała Dora od najmłodszych lat przejawiała zdolności muzyczne. Miłość do opery, teatru i przyrody pozostała jej do końca życia. W 1935 roku ukończyła 8-klasową Szkołę Podstawową w Pelczycach z wynikiem bardzo dobrym. Dla rodziców niezwykle ważne było kształcenie córki. Posiadając odpowiednie środki finansowe, wyprawili Dorę do liceum ogólnokształcącego w Berlinie. Ukończyła je w 1938 r. Studiów, które następnie podjęła, nie ukończyła, gdyż po wybuchu II wojny światowej ojciec nakazał córce wrócić do rodzinnej miejscowości. Nastąpiło to zapewne tuż po pierwszych nocnych bombardowaniach Berlina przez samoloty RAF-u, które miały miejsce w dn. 24, 27 – 28.08.1940 r. Być może rodzice przeczuwali, że wojna skończy się dla Niemców klęską, dlatego też chcieli, aby rodzina w trudnych chwilach była blisko siebie. Po powrocie do rodzinnej miejscowości dwunastoletnią wówczas Dorę w dniu 01.10.1940 r. zatrudnił właściciel sklepu kolonialnego znajdującego się przy ul. Richt str. 56 (ul. Armii Polskiej) – Max Tolles. Pod jego okiem pilnie uczyła się zawodu ekspedientki, sprzedając ekskluzywne towary z całego świata. Zawód sprzedawczyni wykonywała do końca życia. Była pracownikiem bardzo rzetelnym, sumiennym i niezwykle uczciwym. Jej stosunek do reżimu faszystowskiego był raczej wrogi. Oczywiście nieprzyjawnego nastawienia w

stosunku do władzy nie mogła okazywać, ponieważ kara za krytykę mogła być tylko jedna – obóz koncentracyjny. Niebawem okazało się, że wojna pozbawiła życia jej pierwszą miłość – pomocnika ojca w zakładzie kowalskim, niejakiego Kutza, z którym zawarła związek małżeński. Zakochanym nie dane było cieszyć się życiem małżeńskim, gdyż po 3 miesiącach pomocnik kowala został powołany do wojska. Nieborak zginął w czołgu, trafiony na froncie wschodnim pociskiem przeciwpancernym.

Propaganda niemiecka informowała o zaplanowanym odwróceniu wojsk niemieckich i okrucieństwie żołnierzy radzieckich, nie pozostawiała żadnych złudzeń, że obce wojska zbliżają się do Terra Bernstein. Ojciec Dory, chcąc chronić swoją rodzinę przed okrucieństwami bolszewików, wykopał w lesie w Krzyńkach ziemiankę, w której rodzina spędziła 2 miesiące. Gdy wrócili, miasteczko nosiło już nazwę Bursztynowo i opanowane było przez Rosjan. Na szczęście Dora Kutz miała bardzo przyjazny stosunek do pracowników przymusowych, tzw. niewolników. Robotnicy Mieczysław Ruszkowski i Stefan Płocki w dniu 13.05.1946 r. podpisali oświadczenie, wystawiając jej bardzo dobrą opinię. Referencję miały między innymi duży wpływ na to, że nie została natychmiast deportowana na tereny zachodnich Niemiec. Rozstrzygnięciem okazała się znajomość z Polakiem Rościsławem Demenko, który przyjechał na Ziemię Odzyskanie latem 1945 r. Urodził się 1906 roku w miejscowości Klewań, pow. Równe, woj. wołyńskie. W wieku 3 lat wyprowadził się wraz z rodzicami do miejscowości Sarny, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej, a następnie do gimnazjum. Ojciec Mikołaj Demenko poległ bohaterską śmiercią za ojczyznę w 1920 r. w wojnie polsko-bolszewickiej. Matka Leokadia z domu Glińska – gospodyni domowa, w poszukiwaniu środków do życia, grała na pianinie w Sarnach w niemym kinie. Rościsław aby pomóc matce przerwał naukę i rozpoczął pracę zarobkową. Posiadał wrodzone

zdolności plastyczne, pracował jako kreślarz. Kontynuował naukę eksternistycznie, ostatecznie zdając egzamin dojrzałości. Do momentu wybuchu II wojny światowej wykonywał plany w dziedzinie pomiarów melioracyjnych i leśnych. Wiadomo, że w domu rodzinnym Rościsława zawsze panowała atmosfera umiłowania do muzyki, opery i teatru. 18.06.1939 r. Sarny zostały zajęte przez żołnierzy Armii Czerwonej. W roku 1940 r. przeprowadził się do Janowa Lubelskiego, gdzie w okresie 1940 – 41 miały miejsce masowe egzekucje ludności żydowskiej, których dokonywały wojska niemieckie. Dzierżawił piwiarnię, która następnie została jednak zamknięta przez okupanta. W związku z tym zatrudnił się jako robotnik w miejscowym tartaku. W dniu 26 lipca 1944 roku Janów Lubelski zajęły wojska radzieckie przy udziale żołnierzy Armii Ludowej. Po zakończeniu wojny osiadł na stałe w Pełczycach. Od września 1945 r. do lipca 1947 r. był właścicielem sklepu spożywczego przy ul. A. Polskiej. W Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska pracował od 01.11.1947 r. w charakterze pracownika umysłowego.

Przyszli małżonkowie poznali się w sklepie kolonialnym we wrześniu 1945 r. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Rościsław Demenko zaopiekował się Niemką Dorą Kutz, chroniąc ją przed wszystkimi zagrożeniami. Polacy jak i Niemcy na związek spoglądali podejrzliwie, a nawet wrogo. Rodzice Dory Kutz nie byli usatysfakcjonowani tą znajomością, a gdy nie pomogły żadne argumenty, poinformowali przyszłego zięcia, że córka choruje na serce i został jej miesiąc życia. W odpowiedzi usłyszeli, że nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Rodzina Schulzów wiedziała, że niedługo zostanie deportowana. Ostatecznie rodziców Dory Kutz wydano pod koniec 1945 r.

Rościsław Demenko był osobą, która dzięki zaangażowaniu i operatywności posiadał znaczny wpływ na organizację życia kulturalnego i społecznego (był członkiem tymczasowej rady w Bursztynowie, zarządu kolegiального przy Radzie Miejskiej w Pełczycach, jednym z założycieli amatorskiego teatru). Innymi słowy, należało się liczyć z jego zdaniem. Dzięki jego staraniom Dora Kutz pomyślnie przeszła Komisję Weryfikacyjną w Pełczycach i 27.08.1946 roku otrzymała

tymczasowy dowód stwierdzający polską przynależność narodową. Uczęszczała do wieczorowej szkoły w Pełczycach, gdzie pilnie uczyła się języka polskiego. Z biegiem czasu opanowała umiejętność pisania w języku polskim, a pozostawione przez nią zapiski budzą podziw starannością pisma i brakiem błędów ortograficznych. Niestety, polską przynależnością narodową Dory Kutz zainteresował się Urząd Wojewódzki w Szczecinie, poszukując ostatnich Niemców, których należy deportować, jak określano „*ochoczo wyjeżdżających za Odrę*”. 6 maja 1950 r. urząd cofnął decyzję Komisji Weryfikacyjnej w Pełczycach, uznając ją za nieważną i wydaną bez żadnych podstaw prawnych. Stwierdził, że naruszona została ustawa z dnia 28.04.1946 r. o obywatelstwie państwa polskiego osób narodowości polskiej zamieszkających na terenie Ziem Odzyskanych, bowiem Dora Kutz nie jest obywatelką polską. Jakby tego było mało, polecono odebrać Niemce wszystkie dowody stwierdzające polską przynależność narodową, nakazano traktować ją jako Niemkę i skierować do pracy w PGR do chwili wysiedlenia do Niemiec, gdzie posiadała swoją rodzinę. Na szczęście Rościsław Demenko wykazał się dużą intuicją i sprytem, bo w dniu 30.04.1950 r. w Urzędzie Stanu Cywilnego zawarł związek małżeński z Dorą Minną Wilhelminą z domu Schulz, więc jeszcze przed cofnięciem decyzji Komisji Weryfikacyjnej. Tak więc Dora Demenko na podstawie art. 4 ust. 3 ustawy z dn. 20.01.1920 r. o obywatelstwie państwa polskiego z chwilą zmiany stanu cywilnego automatycznie nabyła obywatelstwo polskie. Co ciekawe, Rościsław Demenko zawierając związek małżeński jeszcze przed cofnięciem decyzji, nie musiał składać podania o zezwolenia na zawarcie małżeństwa z obywatelką Niemiec, a pewności nie miał czy otrzyma takowe po odebraniu ukochanej tymczasowego dowodu stwierdzającego przynależność polską. Sprawność działania Rościsława Demenko uratowała jego żonę przed deportacją. Swoją przebiegłością rozwścieczył urzędników w Szczecinie, którzy zażądali przesłania im aktu ślubu oraz dowodów obywatelstwa polskiego Rościsława Demenko, których ostatecznie podważyć już nie mogli.

Gerard Sopiński

Znany niemiecki pisarz Karol May, napisał w XIX wieku powieść, której fragmenty ukazują rycerzy i wydarzenia rozgrywające się na terenach Nowej Marchii i Księstwa Pomorskiego. Tom 69 dzieł Karola Maya o grubości 416 stron, został podzielony na trzy części. W jednej z nich opisane zostały losy sławnego rycerskiego rozbójnika Dytryka Quitzowa, a w drugiej zamieszczono opowiadanie nas najbardziej interesujące - „Sokolnik”. Powieść ta, w przeciwieństwie do innych dzieł tego autora, poświęconych przygodom na kontynencie amerykańskim, jest ciągle nieznana dla polskiego czytelnika. Może kiedyś doczekamy się jej tłumaczenia. Myślę, że z zaciekawieniem przeczytalibyśmy o przygodach rycerstwa żyjącego na obecnych ziemiach polskich, a w niegdyś Nowej Marchii i na Pomorzu Zachodnim. Na razie jednak musimy korzystać z wydań w językach niemieckim i czeskim. Wśród powieściowych bohaterów Karola Maya odnajdujemy licznych Wedlów. Czy ich losy, to tylko fantazja znanego pisarza ?



Sokolnik



Głównym bohaterem powieści Karola Maya jest sokolnik, a akcja pełna jest walk prowadzonych przez rycerzy pomorskich i nowomarchijskich tego obszaru, w tym przez Henninga Wedla z Mirosławca, Wedlów z Sicka koło Recza, Wedlów z Tuczną i Wałczą, Wedlów z Krępcewa koło Stargardu, Erazma Wedla z Recza, Stegelitzów z Recza i Güntersbergów. W powieści rycerze ci dokonują wielu napadów, więzią przeciwników, wymuszają okupy, palą i pustoszą pograniczne wioski. Słowem tak, jak w innych powieściach Karola Maya.

Główny wątek w powieści rozpoczyna się powrotem młodego rycerza Henninga Wedla do rodzinnego zamku w Mirosławcu (*Frydland*). Wedel podróżujący w przebraniu myśliwego, przejeżdża w pobliżu lasu swego oponenta Szymona Güntersberga, który go nie rozpoznaje i bierze za sokolnika. Sytuacja ta Henningowi bardzo odpowiadała, bo pomimo tego, że początkowo został siłą zabrany na polowanie, to potem zauważył swoją szansę spotkania swej ukochanej - Brunhildy, córki Güntersberga.

Podczas polowania młody rycerz zademonstrował umiejętności przeprowadzania łowów z sokołem oraz fechtunku na miecze. Zrobił duże wrażenie na zwaśnionym z nim Szymonie Güntersbergu oraz na innym

rycerzach, w tym na Janekinie Stegelitzu z Recza. Zaraz potem Henning (sokolnik) miał okazję po raz kolejny zaskarbić sobie uznanie swych wrogów. W pogoni za zwierzyną, myśliwi zabłądzili i znaleźli się na terenach Księstwa Pomorskiego, opodal zamku w Krępcewie, głównej siedziby jednej z linii rodu Wedlów.

Krępczewscy Wedlowie nie przepuścili takiej sytuacji i przetrzepali skórę swojemu wrogowi – Güntersbergowi i ich poplecznikom. Przebrany za sokolnika Henning Wedel, włączył się do walki w obronie napadniętych. Pozorował walkę ze swym wujem Fryderykiem von Wedel, a gdy ten poznał Henniga, domyślił się podstępu i pozwolił się mu pokonać. Po odniesionym zwycięstwie Henning przyjął od Szymona Güntersberga i Janekina Stegelitza, wdzięcznych za wybawienie z opresji, zaproszenie na ich zamek Güntersberg.

Zamek Wedlów w Mirosławcu – zapewne istniał już w 1314 roku. Był siedzibą linii Wedlów Frydlandzkich do końca XVI wieku. W latach 1409-1411 okupowany przez Krzyżaków. Do dzisiaj zachowało się jedynie wzgórze zamkowe.

Historyczny **Henning Wedel**, nazywany w powieści Maya *Frydlandzkim (Friedländer)*, miał główną siedzibę na zamku w Mirosławcu (od 1400 r.) i reprezentował linię rodu Wedlów, związaną przez wieki z Polską. W pierwszych dniach wielkiej wojny polsko-krzyżackiej (1409-1411), Henning jako polski lennik został ukarany zajęciem przez wojska krzyżackie zamku w Mirosławcu. Zamek pozostawał w rękach krzyżackich jeszcze po

bitwie grunwaldzkiej. A Henning uszedłszy z życiem przed wrogiem, przebywał poza rodzowymi posiadłościami. Gdy na mocy pokoju toruńskiego (1411) wszystkie utracone przez Polskę w tej wojnie zamki powróciły do królestwa, Henning Wedel powrócił do Mirosławca i jeszcze silniej związał się z Polską, walcząc ze zwolennikami Zakonu w Nowej Marchii i na Pomorzu. Gdy w 1414 roku wybuchła kolejna wojna polsko-krzyżacka, rozpoczął działania na pograniczu z popierającymi Zakon Krzyżacki Güntersbergami z Pomorza i Nowej Marchii oraz ze swoimi krewnymi Wedlami i Stegelitzami z Recza. Podczas tych walk, Henning z Mirosławca został pojmany przez Janekina Stegelitza pana z Recza i Szadzka. W odpowiedzi, jego krewni z Mirosławca przy udziale Wedlów z Krępcewa, przystąpili do niszczenia dóbr Stegelitzów w księstwie słupskim.

Do uwolnienia Henniga doszło dopiero wówczas, gdy Wedlom udało się pochwycić wracającego ze Stargardu Janekina Stegelitza. W zamian za odzyskanie wolności zobowiązał się on dać nie tylko okup, ale i wypuścić z niewoli Henniga.

Po wyjściu z niewoli, Henning walczył z Güntersbegami. W 1414 Henning wraz ze swymi krewnymi: Henningiem Wedlem

Zamek w Pęzinie powstał w drugiej połowie XIV wieku, rozbudowywany w XV, XVI i XIX wieku. Przejściowo w drugiej połowie XV wieku zamek w posiadaniu Zakonu Joannitów. Przed i po tym okresie siedziba rodu von Borcków. W pocztach XV wieku zamek składał się z wieży, domu mieszkalnego i muru kurtynowego z bramą.



z Krępcewa i Fryderykiem Wedelem z Drawna, zorganizował zasadzkę w młynie nad Iną na Szymona Güntersberga. Podczas walk spalono młyn, poległ jeden z knechtów Henniga, a Szymona pojmano i uwięziono w lochach zamku mirosławieckiego. Wkrótce potem zaatakowali Güntersbergowie. Spalili i obrabowali dobra Wedlów z Krępcewa położone koło Suchania, Dolic i Stargardu. Jesienią 1414 roku Henning oraz Wedlowie z Tucza i Wałcza toczyli wojnę ze Stegelitzami i atakowali miasto Choszczno. Spod Choszczna oddział Wedlów udał się na południe pod Dobiegniew, gdzie w okolicznych wioskach zabito dwóch mieszczan i dwóch chłopów oraz zajęto 19 koni. Przeciągająca się walka dawała się we znaki obu stronom. W kwietniu 1415 roku Krzyżacy pojmali i uwięzili syna Henniga z Mirosławca, Henniga Młodszego. Pod naciskiem grózb, obie strony, Krzyżacy i Wedlowie rozpoczęli rozmowy. 24 czerwca doszło do zawarcia

porozumienia z Wedlami z Tucza i Drahimia oraz z Henningiem z Mirosławca.

W latach 1419-1421 Henning i Hasso z Mirosławca, którzy posiadali miasto i zamek (w Mirosławcu), nadal sprzyjali polskiemu władcy i chcieli we współdziałaniu z Polakami z Wałcza zająć zamek w Złocińcu, który posiadał ich rodowiec Hasson

Zamki Wedlów w Reczu i Insku. Zamek w Reczu powstał w początkach XIV wieku. Od 1350 do XVI wieku należał do linii Wedlów. Zniszczony w 1469 roku, nie został odbudowany. O zamku w Insku nie wiele wiadomo. Powstał w nieznanym dzisiaj miejscu, zapewne w XIV wieku. Został zniszczony na początku XV wieku.

Młodszy. W maju i w czerwcu 1421 roku Wedlowie zwracali się do krzyżaków w imieniu krewnych z Drawna, aby oddano im zamek. Wśród nich był także Henning z Mirosławca, wójt z Lipia w księstwie słupskim. Był zatem urzędnikiem księcia Bogusława IX. Henning von Wedel zmarł przed 13 kwietnia 1425 roku. Z kolei rycerz **Szymon Güntersberg** jest znany z dokumentów z lat 1410-1423, ale jego zamek nie znajdował się w Güntersbergu, czyli obecnym Nosowie, jak pisze K. May, lecz w Pęzinie (1421 r.), który posiadali potomkowie Szymona do 1482 roku.

Panowie na Reczu

Według powieści Karola Maya, jedynym przyjacielem Szymona Güntersberga był Erazm Wedel z Recza, co wskazuje na przynależność tych rycerzy do stronnictwa prokrzyżackiego. Z tą jednak różnicą, że Szymon należałby do niego na Pomorzu, a Erazm – w Nowej Marchii. Przyjrzyjmy się zatem i tym postaciom.

Historyczny **Erazm Wedel z Recza** był także panem Inśka i wielu okolicznych włości. W średniowiecznych dokumentach wzmiankowany jest w latach 1414-1425 i rzeczywiście był wiernym stronnikiem Zakonu Krzyżackiego. Już w 1414 roku, gdy ród von Wedłów wystąpił w obronie krewnych z Wałcza, Tucznia i Mirosławca, zamieszkujących po polskiej stronie granicy, Erazm z Recza przeciwstawił się propolskiej polityce prowadzonej przez część rodu. Z tego zapewne powodu oddziały pomorskie i polskie spustoszyły jego posiadłości położone wokół Recza. Do tego rycerz ten popadł w ostry konflikt z Borckami z Łobza i Węgorzyna.

Podczas przeciągających się wojen polsko-krzyżackich w latach 1414-1422, co pewien czas Erazm von Wedel z Recza i Inśka brał udział w nadgranicznych starciach. W 1416 roku polskie wojska zniszczyły jego włości koło Inśka, a w 1418 roku położone koło Recza. Od 1419 roku był oblegany przez Polaków w Inśku. Zamek zdobyto dopiero w 1420 roku szturmem i splądrowano. Co się z Erazmem potem działo przez kilka lat – nie wiemy. Jesienią 1424 roku wszedł do komisji ustalającej polsko-nowomarchijską granicę. W 1425 roku wraz z Zygfrydem Stegelitzem, obaj z Recza, ruszali z misją dyplomatyczną do księcia szczecińskiego. Ostatni raz wzmiankowany 25 marca 1425 roku po wypełnieniu poselskiego zadania.

Zamek w Szadzku – powstał w XIV wieku nad wschodnią granicą Księstwa Pomorskiego z Nową Marchią. Usytuowany na wzgórzu na zachodnim brzegu jeziora. W XIV do XV wieku w posiadaniu rodu von Stegelitz. W 1478 roku zdobyty przez armię brandenburską, został pozbawiony częściowo walorów obronnych. Zniszczony w drugiej połowie XVII wieku.

Po stronie Erazma wspomniano na kartach powieści wielokrotnie historycznego rycerza i sąsiada - **Janeka** albo **Janekina Stegelitza** (1403-1415), posiadającego włości po dwóch stronach granicy, po pomorskiej w Szadzku i nowomarchijskiej – w Reczu. W 1403 roku urządzał najazdy z Szadzka na Nową Marchię, a w czasach wielkiej wojny polsko-krzyżackiej, wstąpił w szeregi armii zakonnej. Jednakże Zakon nie był w stanie spłacić długów wobec

zaciężnego rycerza i 1 maja 1411 roku wielki mistrz Henryk von Plauen wystawił Janekowi, oraz jego bratu Zygfrydowi i ich kuzynowi Henrykowi, skrypt dłużny na 372 guldeny pod zastaw młyna zakonnego w Choszczynie. Stegelitzowie byli zaangażowani w liczne wojny polsko-krzyżackie oraz walki na pograniczu w następnych latach. A o udziale Janeka w wojnie z Polską wspomina się w korespondencji zakonnej jeszcze w 1415 roku.

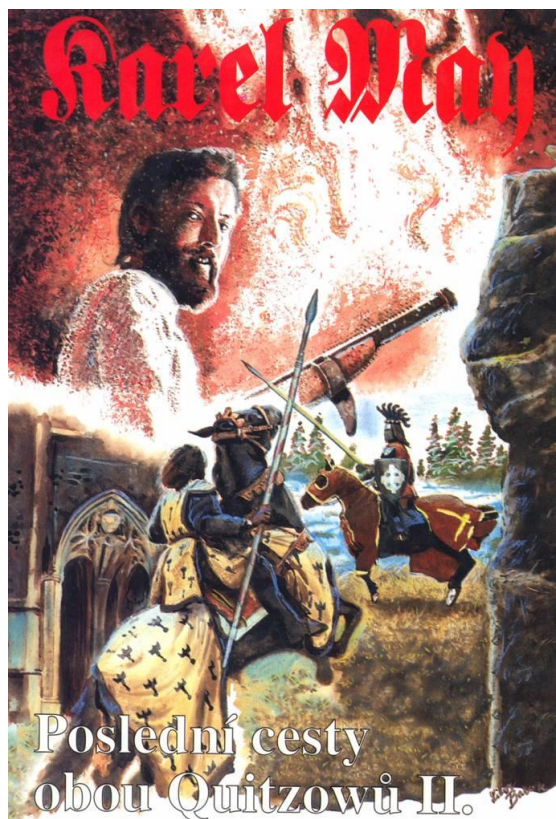
Dytryk von Quitzow

Historia zbrojnych potyczek margrabiego Fryderyka Hohenzollerna z Quitzowami stała się kanwą dla powieści T. Helkego, *Fehde um Brandenburg*, wydanej w Stuttgarcie w 1941 roku. Jednak książka skażona jest wpływami epoki, w której powstała. W niekorzystnym świetle ukazano tutaj nie tylko Quitzowów jako raubritterów, ale i samych książąt pomorskich.

Wróćmy do powieści Karola Maya. Sokolnik z Brunhildą ruszają do zamku Güntersberg, a Szymon Güntersberg i Janekin Stegelitz pozostali jeszcze na polowaniu. Gdy dojeżdżali do zamku Szymona, pojawił się przed nimi cudzoziemiec z pytaniem: Kto jest panem tego zamku? Gdy dowiedział się od Brunhildy, że to siedziba Szymona Güntersberga, kazał się zaraz do niego prowadzić. Sokolnik rozpoznał w przybyszu, szeroko znanego w Marchii Brandenburskiej rycerza awanturnika Dytryka von

Quitzowa i zgodził się doprowadzić go do zamku. Podczas podróży poinformował rycerza, że Szymon jest jeszcze na polowaniu. Quitzow postanowił zaczekać, bo chciał się koniecznie z nim rozmówić. Na zamku upływała godzina za godziną, aż nadeszła noc, lecz myśliwi nie powrócili. Quitzow niecierpliwie dopytywał się co chwila o Szymona, a sokolnik (Henning Wedel Frydlandzki) obserwował go.

Podczas rozmowy Quitzow zaczął wypytywać sokolnika o stosunki Szymona z okolicznym rycerstwem, w tym z Wedlami z Bytowa i Erazmem Wedlem z Recza. Sokolnik poinformował, iż Wedlowie na Bytowie żyją w konflikcie z Szymonem. Nie może też on liczyć na pomoc Henryka Wedla z Krępcewa. Wspomniał, że do wielkich przeciwników Szymona zaliczał się cały ród Krępcewski (*Kremzowsky*), a szczególnie Henryk z Krępcewa oraz Henryk Borcke. Wszyscy oni wypowiedzieli przyjaźń nie tylko Szymonowi, ale Erazmowi Wedlowi, jego wielkiemu przyjacielowi. Dytryk wyjął, że wie o tym, że Szymon jest w trudnej sytuacji. Z tego powodu postanowił odwiedzić go i zaproponować pomoc. Ale teraz nie miał zbyt wiele czasu. Więc kiedy rankiem Brunhilda poinformowała gościa, że ojciec jeszcze nie wrócił, ten kazał Szymonowi powiedzieć, że za kilka dni przyjedzie znowu i odjechał. Panna pożegnała gościa, ale była przerażona nieobecnością ojca, obawiając się, czy czasami coś mu się nie stało.



Historyczny rycerz **Dytryk Quitzow** reprezentował rodzinę, która w ciągu nieco ponad stu lat, zrobiła zawrotną karierę, stając się w końcu XIV wieku jednym z najpotężniejszych rodów Brandenburgii. Drogi awansu tego rodu były różne. Zaczęto od gromadzenia bogactw i urzędów. Nie bez znaczenia tutaj były słabe rządy władców Brandenburgii z dynastii Wittelsbachów i Luksemburgów. Na czoło rodów marchijskich wyszli około 1400 roku, gdy z córką namiestnika Josta Luksemburga, ożenił się Dytryk Quitzow, a w posagu otrzymał zamek Plaue nad Hawelą i gdy jego brat Hans, ożenił się z Agnieszką córką Lippolda von Bredow, wchodząc w posiadanie miasta Sandow nad Łabą. Odtąd zamki Plaue i Sandow stały się najważniejszymi ośrodkami rodu Quitzowów.

Dytryk i Hans wychowywali się u boku ojca Kunona Quitzowa, o którym głośno było w Marchii, a kronikarz lubecki Diethmar określił Kunona w 1391 roku „starym rabusiem”.

Dytryk i Hans zasłynęli już w 1402 roku, kiedy prowadząc oblężenie miasta Straussberg, chcąc zmusić mieszczan do kapitulacji, kazali strzelać płonącymi strzałami. W ten sposób podpalono budynki, a pastwą pożaru padło 600 domów i liczni mieszkańcy. Podobno miasto nie odbudowało się jeszcze w sto lat po tym najeździe. Jesienią 1402 roku

Dytryk przegrał bitwę w lesie Wernitz pod Rathenow i dostał się wówczas do niewoli przeciwników brandenburskich i meklemburskich. Pobyt w lochach trwał krótko, bo 13 grudnia Dytryk był już na wolności i wraz z hrabiami von Lindow napadł na dobra biskupa lubuskiego oraz na ziemię barnimską. Splądrowano dwadzieścia dwie biskupie wioski i ukradziono majątek wart 3.000 groszy.

Ponieważ słaby władca Brandenburgii nie potrafił zapanować nad anarchią, uciskane miasta zaczęły przechodzić na stronę Quitzowów. Rady Berlina, Köln i Barnima, ustanowiły Hansa Quitzowa starostą Marchii Środkowej, a Dytryka, dowódcą ich wojsk. Quitzowowie nie spostrzegli się, jak wprzęgnięto ich w politykę państwa. Teraz ruszali zbrojnie przeciwko swym niedawnym sojusznikom. Oswobodzili wschodnią część Brandenburgii i okręg Straussberg, odbierając te terytoria książętom zachodniopomorskim. Ich chciwość pozostała jednak taka sama. Zarówno Straussberg jak i Botzow, postanowili zatrzymać dla siebie oraz „przyjąć” z wdzięczności za swoje usługi od mieszczan z Berlina 80 kop groszy. A na dodatek przymuszeni przez rycerzy mieszczańskie, musieli urządzić rozbójnikom triumfalny wjazd do Berlina.

Quitzowowie utrzymywali zewnętrzne pozory lennego posłuszeństwa, ale mordowali i rabowali przez cały czas. W 1407 roku margrabia zaprosił do Berlina księcia meklemburskiego Jana i by gościa nie spotkały kłopoty w drodze, dał mu list żelazny zapewniający ochronę. Lecz dla Quitzowów nie była to żadna przeszkoda. Gdy tylko książę Jan pojawił się na drodze, został napadnięty przez ludzi Dytryka Quitzowa i umieszczony w więzieniu zamku Plaue. Gdy w lutym 1408 roku książę spróbował ucieczki z więzienia i podczas silnego mrozu, chcąc przedostać się po zamrożonej Haweli na drugi brzeg, Quitzowowie zorganizowali pościg. Na koniach, z psami łowczymi, gonili za księciem jak na zwierza. Nie pomogła szybko zorganizowana pomoc z położonego na drugim brzegu Brandenburga. Skostniałego od zimna uciekiniera szybciej dopadli ludzie Quitzowów. Jan ponownie znalazł się w więzieniu, w którym

spędził dalszych 14 miesięcy. Byłby siedział tam dłużej, gdyby nie przypadek. Razu pewnego poddani księcia Jana schwytali Hansa Quitzowa i cały klan musiał zgodzić się na wymianę jeńców.

Na długiej liście skarg na Dytryka, znajdują się także najazdy na Nową Marchię. Wielki mistrz krzyżacki skarżył się na Quitzowów poczynawszy od 1402 roku przez kilka lat. Od raubritterskich najazdów cierpiała najbardziej Chojna i okolice (1406). W 1407 roku Quitzowowie urządzali napady na kupców nowomarchijskich, podróżujących za Odrę do Frankfurtu i Berlina. Podobno w 1408 roku Dytryk planował wraz z księciem szczecińskim Świętoborem i Polską najazd na Nową Marchię, a Krzyżacy podejrzewali go o zмовę ze spiskowcami spośród rycerstwa nowomarchijskiego. Donosiciele zakonni informowali o takich kontaktach Henryka Güntersberga i Henninga Wedla. I chyba do tych związków Dytryka z 1408 roku, właściwie nam bliżej nieznanych, sięgnął w fabule powieści Karol May.

Co do Dytryka, o którym można by jeszcze wiele powiedzieć, w 1409 roku był z innymi krewnymi pod wpływem krzyżackim i gromadził z ich polecenia oddziały zaciężne. Robił to jednak bardzo opieszale. A gdy dotarła do niego wieść o klęsce Zakonu Krzyżackiego w bitwie pod Grunwaldem, Dytryk skierował zmobilizowane oddziały na Berlin. Zniszczył posiadłości podmiejskie i uprowadził wielkie stada bydła.

Dopiero gdy w 1411 roku namiestnikiem Marchii Brandenburskiej został Fryderyk I Hohenzollern, Quitzowowie, którzy trwali w opozycji do władcy, byli powoli pacyfikowani. Fryderyk I zdecydowanie likwidował kolejno wszystkie gniazda rozbójników-rycerzy. Schwytano i uwięziono Hansa Quitzowa. Jedynie Dytryk zdołał uciec przed wojskiem namiestnika. W marcu 1414 roku ogłoszono pokój ziemski i dokonywano wymiany jeńców. Wiemy, że w lochach zamków Dytryka znaleziono kilku rycerzy z Nowej Marchii i Pomorza. Sam Dytryk powrócił pod skrzydła władców jeszcze w 1414 roku i z ramienia Hohenzollerna prowadził rozmowy dyplomatyczne z książętami pomorskimi. Zmarł w 1417 roku i mimo swej burzliwej przeszłości, posiadania na sumieniu śmierci wielu osób, został pochowany w klasztorze Marienborn.

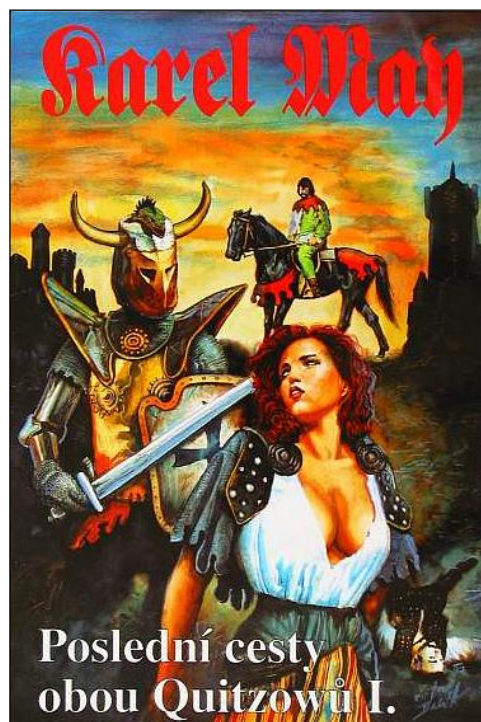
Zamek Güntersberg

W powieści Karola Maya, Henning Frydlandzki ucieszył się ze spotkania ze sławnym rycerzem Dytrykiem Quitzowem i z tego, że zaofiarował on pomoc dla ojca Brunhildy. Henning także obawiał się o Szymona, kiedy Brunhilda poinformowała, że ojciec nie wrócił z polowania. Ale niebawem nadeszła wiadomość, że Szymon z polowania udał się w odwiedziny do Janekina Stegelitz do Recza. Jednakże w drodze powrotnej został pojmany i uwięziony. Wyznaczono za niego wysokie wykupne. Pomoc Dytryka Quitzowa miała być w tej sytuacji nieoceniona. Postanowiono też powiadomić o tym przyjaciela Szymona - Erazma Wedla z Recza.

Przeciwnicy Szymona doszli do wniosku, że skoro Szymon siedzi w lochach, to jest dobra okazja, aby uderzyć na jego zamek w Güntersbergu. Następnego dnia, znajdującego się wtedy na zamku sokolnika powiadomiły strażę, że na gościńcu wiodącym do zamku dostrzeżono zbrojnych z proporcami. Sokolnik w rozmowie z panią zamku Brunhildą stwierdził, że jeżeli strażnicy z wieży dobrze dostrzegali, że są to Reczanie. Po czym zbiegł po schodach na podwórzec i podszedł do bramy, pod którą już byli zbrojni. Na pytanie – *kim są ?* – odpowiedzieli, że ludźmi pana Janekina z Recza, wysłanymi za namową pana Dytryka Quitzowa. Z radością otwarto bramę i wpuszczono zbrojnych do środka.

Reczanom przewodził stary rycerz Matthias, którego sokolnik zaprosił do swej komnaty, by zapytać o pana Szymona. Ten poinformował, że Szymon wraz z jego panem Janekinem Stegelitzem dostali się w ręce Wedlów z Krępcewa. Powiedział też, że Wedlowie pewnie teraz ruszą na zamek Güntersberg. Dlatego przybył, aby zamek zabezpieczyć. Noc przebiegła jeszcze spokojnie. Ale rankiem, kiedy sokolnik i Matthias robili obchód straży, otrzymali wiadomość, że na skraju lasu ponownie dostrzeżono zbrojnych.

Sokolnik (Frydlandzki) dosiadł konia i pojechał ku nim. Byli to jego krewni - Wedlowie. W rozmowie poinstruował znajdujących się pod lasem Wedlów z Krępcewa, jak mają atakować zamek. Sokolnik chciał, aby atakowano zamek z trzech stron, a jedna była wolna od walk, aby miał możliwość



ucieczki. Po ustaleniach powrócił na zamek. Brunhildzie kazał nie opuszczać komnaty i obiecał ją powiadomić, kiedy będzie bezpiecznie. Ta usłuchała rad sokołnika i życzyła mu, *aby Bóg go ochraniał i dał siły w walce*.

Wkrótce potem wybuchły walki. Podczas oblężenia powtarzano ataki za atakiem, ale twierdza broniła się bohatersko. Zamek ściśnięto oblężeniem z trzech stron. Wolna pozostała tylko strona od jeziora, którego woda podchodziła niemal pod same mury obronne. Sokolnik uważając, że z tej strony wróg nie zaatakuje, nie wystawiał tutaj straży. Walki przeciągały się. Matthias widząc, jak ubywało atakujących, łudził się nadzieją. Ale sokolnik wiedział, że Wedlowie szykują się do głównego ataku nocą. Nakazał ostrożność i wystawił straż. Napastnicy dotrzyмали wcześniejszych ustaleń i późną nocą sokolnik usłyszał okrzyk - *Wróg!* Straże doniosły, że napastnicy cicho podeszli pod mury. Dlatego niemal bez walki zajęto podzamecz. Sokolnik wiedząc, że to ostatnia chwila, aby ratować Brunhildę. Namówił ją, żeby z nim poszła, a odstawi ją w bezpieczne miejsce. Wrogów, którzy już wdzierali się do zamku odparł i zamknął przed nimi drzwi. Wielkie wrota mogły wytrzymać jeszcze krótką chwilę, w czasie której odwołał z wieży strażę, obiecując wszystkich uratować, wyprowadzając ich ukrytym podziemnym przejściem.

Uciekinierzy usłyszeli z podwórza zamkowego hałas świadczący, że wróg podnosi już główną bramę. Rozległ się wtedy donośny okrzyk: *Pomóżcie odnaleźć mi Różyczkę z Güntersbergu*. To zmusiło sokołnika do szybkiego działania. Podniósł rannego Matthiasa i z jeszcze jednym ze swych najlepszych ludzi udał się na wieżę, skąd zrzucili zapaloną smołę, by powstrzymać napastników. Potem ukrytymi drzwiami zeszli do podziemi. Po przejściu korytarzem, wyszli z zamku za dużym krzewem, rosnącym na brzegu jeziora. Niewidoczni dla zbrojnych na murach, przez ćwierć godziny obserwowali pożar zamku.

Brunhilda rozpaczała. Jej ojciec był w niewoli, a ona sama została bezdomną. Powoli ruszono wzdłuż brzegu jeziora. Jednak po jakimś czasie, sokolnik postanowił ich zostawić pod pozorem znalezienia koni. Chciał je dostać w dobrach Krępcewskich, które rozpoczynały się zaraz za jeziorem. Brunhilda ostrzegała sokołnika, że to są zaciekli przeciwnicy jej ojca i sam może wpaść w ich ręce. Ten jednak nie mógł wyjawiać, że nie obawiał się swego krewnego Henninga z Krępcewa. Gdy po jakimś czasie szczęśliwie powrócił z końmi, Brunhilda dziwiła się bardzo, że tak szybko je znalazł. Powoli Panna zaczęła się domyślać, że sokolnik skrywa przed nią jakąś tajemnicę. Lecz na razie cieszyła ją świadomość, że nie jest mu obojętna. Sokolnik odparł, że konie zabrał jednemu z ludzi Wedłów i wyjawiał Brunhildzie plan ukrycia jej na zamku w Bytowie.

Wizyta na zamku w Bytowie

Uratowani z zamku Güntersberg, bez przeszkód przeszli przez obszar należący do Krępcewskich i dotarli do zamku w Bytowie. Otwarto im bramę i wjechali do dolnego dworu. Zaproszono ich na pokoje, a konie zabrano do stajni. Naprzeciw wyszedł Hans Wedel z żoną Hedwigą. Miłe powitanie przeciwników jej ojca, było zaskoczeniem i zrobiło duże wrażenie na Brunhildzie. Od śmierci matki, dziewczyna była samotna, bo ojciec na zamku w Güntersbergu czas spędzał jedynie z pijackimi kamratami, opuszczając kasztel jedynie na polowania.

Tutaj w Bytowie sokolnik rozmyślał, jak uwolnić ojca Brunhildy. Gdy przebywał w swojej komnacie, odwiedził go Hans Wedel. Młodzieniec zdziwił się, że stryj go jeszcze nie rozpoznał. Ale w końcu ujawnił się. Na pytania stryja, gdzie bywał, odpowiadał, że w Alten Wedel (dzisiejsze Sisko koło Recza) u Fryderyka Wedla, gdzie opiekował się ptakami. Opowiedział także o tym, jak to kiedyś udał się poza granice swych posiadłości i spotkał tam piękną pannę z myśliwymi. Ta wzięła go za sokołnika. Więc potem, już jako sokolnik, udał się z nią do zamku w Güntersbergu. Hans Wedel zaśmiewał się, co na taką historię powie ojciec Frydlandzkiego, a jak się będzie wściekał stary Szymon. Potem potwierdził, że o pojmaniu Szymona i Janekina słyszał, ale o zdobyciu zamku Güntersberg - nie. Zdziwił się, że nie został o tym powiadomiony, ani przez ludzi z Alten Wedel, ani przez Krępcewskich.

Stryj zapewnił bratanka, że nie zawiedzie jego nadziei co do przyjęcia pod opiekę dziewczyny i w związku z tym, będzie ona goszczona w Bytowie, jak siostra Henninga. Uspokojony Frydlandzki zostawia Brunhildę pod dobrą opieką w Bytowie, a sam rusza do Frydlandu.

Wspomniane w powieści Bytowo, to osada położona nad rzeką Iną, na południe od jeziora i wsi Krzemień. Miejscowość od końca XIII wieku podzielona pomiędzy Nową Marchię i Księstwo Wołoskie. Linia podziału wsi i granica państwowa przechodziła przez jezioro Bytów i biegła wzdłuż nurtu rzeki. Zamek w tej miejscowości istniał w rzeczywistości, ale powstał w 1336 roku i należał wtedy do Güntersbergów. Już jednak po dwóch latach, musieli zamek rozebrać, jeżeli chcieli powrócić do pobliskiej Wapnicy. Więcej o zamku w Bytowie w historycznych świadectwach nie słychać. Nie wiemy nawet, gdzie się znajdował.

W powieści Karola Maya Frydlandzki (sokolnik) składa przed wyjazdem z Bytowa ślub rycerski Brunhildzie, że wyswobodzi z niewoli jej ojca. I rzeczywiście niebawem miał ku temu okazję. Odnajduje Szymona w podziemiach rodzinnego zamku w Mirosławcu. Ten zdziwiony pojawieniem się sokolnika zadał mu szereg pytań, na które nie usłyszał odpowiedzi: - *Czy przychodzi z polecenia córki ?, Czy jest bezpieczna ?, Co słysząc na zamku w Güntersbergu ?, Jak ci się udało dotrzeć tutaj ?*. Na te trudne pytania Frydlandzki nie odpowiedział. Zaprowadził Szymona do wielkiej sali zamkowej. Tutaj rozmowa toczyła się w obecności Henninga i Fryderyka Wedlów oraz Henryka Borka.

Henning Wedel rozpoczął pierwszy słowami: *Panie Szymonie, bez ważnej przyczyny zostałeś naszym wrogiem i stawaleś do walki przeciwko nam ze wszystkimi swoimi siłami. Czy pamiętasz, jak pan Fryderyk Wedel w niecałą godzinę was pokonał w czasie walki w lesie, ale uratował was jedynie sokolnik ?*. Na koniec dodał: *Na prośbę człowieka, będącego obrońcą twojej córki, chcemy wymierzyć sprawiedliwość*.

Pełen obaw i zaskoczony sytuacją Szymon Güntersberg krzyczał: *Czego ode mnie chcecie ?* Wyjaśniono mu więc, że chcą, aby zerwał dalsze zbrojne działania i kontakty z Erazmem Wedlem i Janekinem Stegelitzem z Recza oraz, by wynagrodził sokolnika. Gdy dostrzeżono wahanie u Szymona dodano, iż nie powinien się zastanawiać i przyjąć rękę, wyciągniętą do niego przez potężny ród Wedlów. Szymon propozycję zgody przyjął.

Wtedy Henning ujawnił się, że to on był w przebraniu sokolnika na jego zamku. Powiedział, że Brunhilda jest bezpieczna, ale zamek Güntersberg został zajęty i zniszczony. Szymon zrozumiał, że po raz kolejny uratował go sokolnik. Po rozmowie i podziękowaniach, stary Güntersberg otrzymał od Henninga Frydlandzkiego konia i obaj ruszyli w kierunku Bytowa, stąd mieli potem podążyć do Güntersbergu. Już przed wieczorem byli w Bytowie, gdzie przywitał ich Hans Wedel z żoną Hedwigą.

Gości wprowadzono do sali rycerskiej i tutaj doszło do kolejnej, wyjaśniającej minione wydarzenia rozmowy. Początkowo Szymon zwrócił się do Hansa Wedla niezbyt grzecznie: *Panie rycerzu, jest pan pośrednikiem tego młodego rycerza, którego poznałem wcześniej jako sokolnika, a który pozbawił moją córkę dachu nad głową !* Wtedy Hans zapytał, jak Szymon odzyskał wolność. Ten zmieszany potwierdził, że dzięki kolejnym staraniom sokolnika – bez wykupnego. Napiętą atmosferę uspokoiło pojawienie się Brunhildy i jej powitanie z ojcem. Brunhilda podziękowała za uwolnienie ojca sokolnikowi i oznajmiła, że chociaż żał jej opuścić Bytów, to musi zgodnie z nakazem ojca - wrócić na zamek Güntersberg.

Wtedy Henning Frydlandzki ujawnił, że to on był sokolnikiem i prosi Brunhildę, aby mu wybaczyła kłamstwo. Ta nie mogąc uwierzyć że ją okłamał, domagała się wyjaśnień. Młodzieniec padając przed nią na kolana mówi, że nie jest żadnym sokolnikiem, lecz Henningiem Wedlem, jej przyjacielem z dzieciństwa. Brunhilda nie wierzy. Wtedy młodzieniec przypomina dawne wydarzenia. Przed wielu laty, kiedy jeszcze jako chłopca wysłano go na dwór elektorski do Saksonii, z jednym z przyjaciół jego ojca, aby tam zyskał ogładę, powstał spór pomiędzy ich ojcami. Dowiedział się o tym, kiedy na krótko wrócił do Frydlandu. Na wszelkie jego propozycje dojścia do ugody, słyszał tylko *Nie!*. Musiał jeszcze wrócić do Saksonii, ale czekał z niecierpliwością na pierwsze wezwanie do powrotu. Zamierzał dostać się do Güntersbergu i sprawę wyjaśnić. Wreszcie po długim oczekiwaniu, otrzymał z kraju wezwanie i ruszył do domu. Wtedy podczas podróży spotkał swoją Brunhildę na polowaniu.

Dziewczyna twierdziła, że nie przypomina sobie, aby go spotkała wcześniej. Wtedy Henning opowiedział jej kolejne wydarzenie. Kiedyś sokoły Brunhildy ściagały dwa zające, a jeden ze sług, był na tyle odważny, że konno wjechał na zamrożone jezioro, przychodząc z pomocą sokołowi walczącemu z zającem. Słaby lód załamał się pod nim i nie zdołał się wydostać na brzeg. Wtedy Brunhilda straciła wiernego sokolnika. Henning skrywał się wówczas za krzewem i widział całą sytuację. Jednak nie odważył się jeszcze wtedy ujawnić i pojechał stąd do Alten Wedel, gdzie ćwiczył z najlepszymi sokołami. Potem pojechał na zamek Güntersberg, gdzie potrzebowano sokolnika. Na zakończenie opowieści Henning wyznał Brunhildzie miłość, a ona jemu.

Joachim Gans von Putlitz, syn Jaspara pana na Putlitz i Wittenberge, nadwornego marszałka elektora Brandenburgii Fryderyka I, rycerz brandenburski, znany od 1425 roku, zmarł po 1431 roku, ożeniony z bliżej nieznaną Katarzyną.

Tę radosną wiadomość oznajmiono Szymonowi Güntersbergowi. Ten jednak, gdy usłyszał o ślubie młodych, aż podskoczył na krześle. Gdy Henning skończył mówić, Szymon chwycił dzban i rozbił o stół. Odrzekł, że prośba o rękę córki musi być odrzucona i doprowadza go do rozpacz. Nie może Brunhildy nikomu oddać, bo jest związany umową z Erazmem Wedlem. Początkowo Henning myślał, że Szymon przyrzekł ją staremu Erazmowi z Recza. Ale Szymon

zaprzeczył twierdząc, że chodzi o jego syna, młodego Waldemara, który przed wieloma laty został wysłany na wychowanie do Brandenburgii. Henning nie znał Waldemara Wedla osobiście, ale jego przyjaciel, Joachim Gans von Putlitz twierdził, że Waldemar poległ podczas wojny domowej z rycerzami z rodu Stachow.

Henning był zdziwiony, że bliski przyjaciel Szymona Erazm Wedel tego mu nie powiedział. Ponowił prośbę o rękę Brunhildy, a ta wyraziła zgodę. Wtedy też Szymonowi powiedzieli o podróży Dytryka Quitzowa do Erazma z Recza. Szymon uważał, że ta podróż nie jest jasna, dlaczego Dytryk, przecież jego przyjaciel, chciał odwiedzić także Erazma w Reczu. Podejrzywał, że Erazm chciał przystąpić do walki z elektorem brandenburskim Fryderykiem po stronie książąt pomorskich Kazimierza V i Ottona II.

Ostatecznie dochodzi do pojednania i wyrażenia zgody na ślub Brunhildy z młodym Wedlem z Mirosławca. Rankiem wszyscy ruszają do Güntersbergu, gdzie zaczęto właśnie odbudowę zamku. Po kilku dniach, spędzonych na wspieraniu prac budowlanych, Henning z żoną podążył do Frydlandu.

Prawda, fikcja i legenda

Analizując biografie postaci historycznych, dochodzimy do wniosku, że pisarz „czerpał pełnymi garściami” z prawdziwych wydarzeń, rozgrywających się na prawdę w latach 1408-1414. Jednak Karol May zacieśnił chronologię swej powieści na lata 1412-1413. Pisarz chciał ukazać zawikłane losy rycerstwa zamieszkującego pogranicze Nowej Marchii, Księstwa Pomorskiego i Polski, w związku z czym, trafnie wybrał czasy dla swej powieści. Okres początków XV wieku i miejsce akcji, obfitowały w burzliwe wydarzenia, tak charakterystyczne dla fabuły, którą budował w swoich powieściach ten niemiecki pisarz.

Przeanalizowane dane historyczne pozwalają na stwierdzenie, że przygotowując się do pracy nad tym tomem, Karol May zapewne sięgnął do opracowań historycznych. Najprawdopodobniej miał dostęp do pracy Johanna Voigta *Die Erwerbung der Neumark*, wydanej w Berlinie w 1863 roku. Autor skorzystał także z map, bo to pozwalało na tak trafne lokowanie wydarzeń w terenie. Orientował się w topografii pogranicza nowomarchijsko-pomorskiego i nie można mu odmówić znajomości i umiejętności łączenia fikcji z realiami historycznymi. Wydaje się także, że świadomie zrezygnował z pewnych wydarzeń historycznych. W pierwszej połowie XV wieku Nowa Marchia należała do Zakonu Krzyżackiego. Wedlowie, zwłaszcza Erazm z Recza, byli szczególnie mocno związani z polityką Zakonu. Początek XV wieku to także wojny polsko-krzyżackie, przegrywane przez Zakon. W wojnach tych uczestniczyli wspomniani tutaj rycerze. U Maya nie znajdziemy żadnej wzmianki na temat Krzyżaków. Ba, nie ma także nic o Polsce, z którą związani byli w XV wieku mocno panowie z Frydlandu. Było to chyba potrzebne

pisarzowi, aby pokazać rycerstwo tego obszaru, jako udzielnych panów, prowadzących samodzielną politykę i samowolne walki. W rzeczywistości jednak sprawy te były bardziej zawiłe, podobnie jak granice państwowe, których K. May nie zauważa, za to widzi dokładnie granice posiadłości rodowych. K. May uległ rozwijalnemu od XIX wieku pogładowi historyków niemieckich, iż burzliwe wydarzenia na pograniczu Nowej Marchii i Pomorza, były pełne wojen rodowych – walk prywatnych. Dzisiaj pogląd ten historycy, polscy zwłaszcza, zweryfikowali niemiłosiernie. Wydarzenia rozgryające się na pograniczu polsko-nowomarchijsko-pomorskim, były ściśle powiązane z polityką i licznymi wojnami polsko-krzyżackimi w XV wieku. Ponieważ wielka wojna z Zakonem Krzyżackim zakończyła się w 1411 roku, to powieściowe wydarzenia z lat 1413-1414 przypadły tak naprawdę na okres kolejnej wojny – wojny głodowej (1414).

Pisarz trafnie wybrał postacie rycerzy historycznych z pierwszego planu: Henninga Wedla z

Mirosławca, Szymona Güntersberga, Janekina Stegelitza, Erazma Wedla, jak i z planu drugiego: np. Dytryka Quitzowa, Henryka Borka z Łobza, czy Wedłów z Krępcewa oraz Wedłów z Tucznia i Wałcza. Dobry wybór nie obył się bez pomyłek, bo w początkach XV wieku w Krępcewie zamek należał nie do Fryderyka i Henninga von Wedłów, ale do Hansa i Henninga Wedłów, lenników księcia szczecińskiego, o



których słyszeć dopiero w 1412 roku, gdy dokonali napadu na kupców myśliborskich. Wymieniony tutaj Fryderyk Wedel był właścicielem zamku w Drawnie.

Trudno ocenić, czy do niezbyt udanych, czy do udanych zabiegów pisarskich autora, należało wyprowadzanie wniosków z nazw miejscowości w odniesieniu do wieku XV. Nazwy te powstały dużo wcześniej, bo w XIII i XIV wieku. W XV wieku nazwa miejscowości nie była dowodem na to, że nadal znajdowała się w posiadaniu rodu, który podobnie się nazywał. Oto przykłady; Karol May wymienia Wedlów z Sicka (*Alten Wedel*) koło Recza. Ale w XV wieku wieś należała tylko do Güntersbergów. I podobny przykład w odniesieniu do miejscowości Güntersberg, w której znajdował się powieściowy zamek Szymona Güntersberga. Nazwa ta odnosi się do dzisiejszego Nosowa, ale tutaj nie było zamku Güntersbergów. Znajdował się na pobliskim obszarze sąsiedniej Wapnicy (*Rawenstein*).

Przypuszczam, że pisarz celowo umiejscowił zamek w Nosowie (*Güntersberg*), bo nazwa mu się kojarzyła z właścicielami, podobnie jak nazwa *Alten Wedel* z Wedlami. Mógł jednak wiedzieć z historiografii, że w pobliżu znajdował się zamek Güntersbergów w Wapnicy. Prawdopodobnie dokonał zabiegu, na jaki mogą sobie pozwolić jedynie pisarze. Mianowicie na dowolne przenoszenie zamków w terenie. Bodźcem do takiego zabiegu dla pisarza był zapewne prawdziwy przykład dotyczący nazw miejscowości i nazwiska Henninga von Wedla – „Frydlandzki” – właściciela zamku Frydlandu (Mirosławca). Stąd wziął się efekt dążeń autora do uproszczenia fabuły czytelnikowi. Niestety upraszczanie spraw nazewnictwa odbiegło od realiów historycznych XV wieku. Podobny zabieg w powieści dotknął też spolszczonego nazwiska Wedlów z Mirosławca, czyli z Frydlandu. Nazwisko *Frydlandzki*, pojawiło się w źródłach historycznych dopiero 30 lat później. Natomiast wyprowadzenie w podobny sposób nazwiska Krepcewski (*Kremzowsky*) dla Wedlów z Krępcewa (*Krempszow*), nie znajduje w materiale historycznym już żadnego uzasadnienia.

Wydaje się, że pisarz gubił się nieco w zawiłej genealogii i zasięgu własności rodu Wedlów. Literacki stryj Henninga Frydlandzkiego, czyli Hans Wedel „z Bytowa”, musiałby należeć do linii Wedlów Frydlandzkich. Nie znajduje on jednak odpowiednika w historycznych postaciach Wedlów z tej linii. Hans I z Mirosławca zmarł jeszcze przed 1368 rokiem, a Hans II żył do 1425 roku i mógł być raczej rówieśnikiem, niż stryjem Henninga. Nie ma także żadnych historycznych dowodów na to, że Wedlowie z Mirosławca posiadali Bytów koło Recza w XV wieku, ponieważ utracili to lenno w 1338 roku.

Karol May odmłodził niektórych bohaterów w powieści. Sokolnik, czyli Henning von Wedel, jako młodzieniec zakochany w Brunhildzie mógłby w powieści mieć nieco ponad 20 lat. W rzeczywistości miałby lat około 35. Historyczny Henning miał już w 1415 roku dorosłego syna. A co do narzeczonej Henninga - Brunhildy von Güntersberg, nazywanej w powieści „Różyczką z Güntersbergu” - nie ma po niej w dokumentach historycznych żadnego śladu.

Przypuszczam, że w poszukiwaniu inspiracji dla swej powieści, słynny pisarz Karol May, wyzyskał nie tylko źródła historyczne i opracowania historyków. Swój udział mogła mieć też legenda, zachowana w okolicach Choszczna do początków XX wieku. Opowieść wspominała, że jeden z Wedlów zakochał się kiedyś w Katarzynie Güntersberg i chciał prosić jej ojca, ale i swego wroga, „starego Güntersberga” o jej rękę. Ten jednak za nic nie chciał wyrazić zgody na taki ślub. W końcu zrozpaczona córka wyjednała zgodę na wstąpienie do klasztoru w Reczu. Zarówno Katarzynie, jak i Wedlowi pękło serce z rozpaczy. A tej samej nocy rozszalała się burza i zamek Güntersberga stanął w płomieniach, w których zginął ojciec winny nieszczęścia.

W legendzie tej mamy podobne jak u Maya wątki: zauroczenie Wedla przedstawicielką rodu Güntersberg, złe relacje obu rodów, wrogie nastawienie ojca panny do Wedla i wreszcie jego zamek, który pada pastwą płomieni. Zakończenie legendy jest smutne, które na szczęście Karol May zmienił w swej powieści.

Grzegorz Jacek Brzustowicz

Wśród ilustracji:

Okładka niemieckiego wydania powieści: K.May, *Ritter und Rebellen*, Karl-May-Verlag 1960.

Okładka czeskiej edycji: K.May, *Posledni cesty obou Quitzowu*, Tom I- II, 1999.

Płonący zamek starego Güntersberga. Rys. Libor Balak w czeskiej edycji książki.

TAGEDIA SMOLEŃSKA

CZ. I: Żałoba

Przed południem 10 kwietnia 2010 jechałem do Kalisza Pom. Na wysokości Prostyni zadzwonił do mnie Gerard Sopiński, zaskakując mnie stwierdzeniem, że chyba wszyscy zginęli. Kompletnie nie wiedziałem, co się stało. Zdziwiony spytałem, o co chodzi. Gerard powiedział wówczas, że samolot prezydencki rozbił się w drodze do Katynia. - Włącz radio i słuchaj – rzekł. Tak też zrobiłem. Nie miałem złudzeń i byłem pewny, że zginęli wszyscy z prezydentem Lechem Kaczyńskim włącznie. Jednak media dawały nadzieję, że ktoś przeżył. Dzień ten był obfity pod względem tzw. odkryć. Przy ładnej pogodzie znaleźliśmy w ogródku pewnych państwa starą, pięknie zachowaną macewę z XIX w., po czym przerwaliśmy dalsze kopanie, gdyż obciążenie psychiczne było zbyt duże. Wracając w Prostyni, skręciłem w leśną drogę w lewo. Gdy zatrzymałem samochód, zobaczyłem między drzewami potężne drzewo. Tak znalazłem tzw. Lipę Skarbów. Ale to inna historia, jest o niej także legenda...

Nastrój żałoby był ogromny, nawet w TV celebryci, którzy jeszcze wczoraj szydzili z Lecha Kaczyńskiego, płakali lub udawali, że płaczą. Atmosfera w regionie była wręcz fatalna, również dlatego, że dwa lata wcześniej, 23 stycznia 2008 r., wydarzył się pod pobliskim Mirosławcem wypadek samolotu transportowego CASA C-295 M w którym zginęło 20 lotników polskich, wracających drogą powietrzną z zajęć szkoleniowych. Jednak fakt, że zginął prezydent z żoną, osoby znaczące i znane w państwie, jego pierwszy garnitur wojskowy i przedstawiciele (często bardzo młodzi) innych służb spowodował, że gros osób wybierało się do Warszawy, by oddać im hołd. Niemal jako pierwsza ruszyła delegacja Pełczyc z burmistrzem miasta, był w niej także wspomniany powyżej Gerard Sopiński. Dostałem nawet propozycję, by pojechać z nimi, jednak z przyczyn służbowych nie mogłem z jej skorzystać. Za dwa dni nadarzyła się inna bardzo korzystna okazja - wyjazd samochodem do Warszawy, gdzie 16 kwietnia miały się odbyć obchody Dnia Sapera w Katedrze Polowej WP, których nikt nie odwołał.

15 kwietnia 2010

Wyjechaliśmy 15 kwietnia rano razem z Romanem Buckim i Zdzisławem Walaszczykiem. Przeddzień kupiłem w sklepie Kolendowicza w Drawnie znicz. Jechaliśmy w kierunku Poznania. W Zachodniopomorskiem w ogóle nie czuć było, że jest żałoba narodowa, podobnie w Lubuskiem, natomiast zupełnie odmienna była Wielkopolska. W wioskach, małych miasteczkach, masowo wywieszone były flagi narodowe z kirem, tak było do samego Poznania. Tam po załatwieniu spraw skierowaliśmy się do Warszawy, do której przyjechaliśmy nocą. Samochód zaparkowaliśmy na podwórku



strzeżonym na ul. Hożej, na posesji, w której mieliśmy przenocować. Po „rozoszczeniu się” i drobnej higienie udaliśmy się na rondo Marszałkowska - Aleje Jerozolimskie, a stamtąd tramwajem podjechaliśmy na Nowy Świat. Miasto żyło swoim życiem i w zasadzie, gdyby nie wiedza i świadomość tragedii, nie czuć było żałobnego nastroju. Było to pozorne. Weszliśmy w Nowy Świat, ruch pieszcy był trochę większy od tego, jaki zwykle tu o tej porze bywał. Otwarte były kawiarenki, niektórzy adorowali się wzajemnie przy świecach i winie. Jednak w pewnym momencie ten świat relaksu i spokoju

skończył się na straganie ze zniczami, naklejkami i znaczkami, których ceny przekraczały granicę przyzwoitości. Kupiliśmy znicz i poszliśmy dalej. Na Krakowskim Przedmieściu Chrystus stojący na cokole przy kościele / bazylice pw. św. Krzyża miał na ramieniu krzyż, który dźwiga zawieszoną biało-czerwoną flagę z kirem. Odczytałem to, tak jakby razem z krzyżem dźwigał cierpienie Polski. A mój kolega uznał, że cała zboląła Polska uczestniczy w jego cierpieniu, które razem z krzyżem niesie. Tu ludzi było bardzo dużo, noc przebijał blask zniczy, stały wszędzie tam, gdzie było historyczne miejsce męczeństwa, pomniki czy żałobne plakaty. Ludzie jakby w poczuciu pośmiertnej równości porobili takie małe miejsca czci ze zdjęciami np. członków załogi, funkcjonariuszy BOR, i z innymi, często mniej znanymi osobami. Wszędzie tam paliły się znicze siedzieli lub stali ludzie, głównie młodzi. Te punkty zadumy były jakby bastionami najważniejszego miejsca, jakim był Pałac Prezydencki. Na Krakowskim Przedmieściu stała wielka, wolno przesuwająca się, kilkunastotysięczna kolejka; ciągnęła się ona do kolumny Zygmunta, tu zakręcała i dalej wiała się by podejść ponownie pod pałac. Stali w niej różni ludzie, tę zbiorowość można było śmiało nazwać Polską, bo w tym miejscu autentycznie zgromadziła się Polska. Nie były to warszawskie eleganciki, ale zwykli ludzie z Podlasia, Śląska, czy jak my, z Pomorza. Stali cierpliwie, nikt nikogo nie poganiał i nie popychał. Nad harmonią przemieszczania się czuwała straż miejska i harcerze, oni też odbierali znicze i dokładali do tysięcy już stojących. Daliśmy im i nasz z

napisem skąd przyjechał. Harcerz gdzieś go postawił, a on wtopił się w dywan ogników. Ci, którzy zrezygnowali z kolejki lub po prostu nie wytrzymywaliby stania w niej, obserwowali Salę Kolumnową na dużym telekomie ustawionym przy Pałacu Prezydenckim. W pewnym momencie kolejkę zatrzymano, miała być przerwa technologiczna, lecz trwała dłużej niż zapowiedziano, gdy ponownie kolumna ruszyła, ktoś zauważył, że trumna prezydenta jest zmieniona.. Cały czas dochodziły kolejne osoby, w tym mimo późnej pory również zorganizowane grupy szkolne. Przyglądając się systemowi wpuszczania do pałacu, zauważyłem lukę, co pozwoliłoby mi włączyć się do tych, co oczekiwali bezpośrednio przy pałacu. Gdybym skorzystał z tej możliwości, czekałbym 1 lub 2 godziny. W tym momencie zobaczyłem kobietę leżącą na wózku inwalidzkim z podłączonym tlenem. Była w tej kolejce, która zmierzała w kierunku Kolumny Zygmunta. Co według kalkulacji oznaczało kilkugodzinne czekanie. Ta scena uzmysłowiła mi, że jakiegokolwiek kombinowanie, by skrócić sobie czas oczekiwania, byłoby niemoralne. Po krótkim namyśle nie zdecydowaliśmy się, by w ogóle stanąć do kolejki, gdyż następnego dnia po południu musieliśmy wracać do Drawna, a i dzień ten był optymalnie zaplanowany i wypełniony. Postaliśmy jeszcze przy świecach i wróciliśmy do siebie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że w Belwederze od 7.00 można będzie pokłonić się ceniom ostatniego emigracyjnego prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego...

16 kwietnia 2010

Belweder. Już przed siódmą czekaliśmy pod Belwederem, byliśmy w czołówce formującej się kolejki z tym, że gdy nastąpiła ta godzina, nikogo nie wpuszczono, argumentując to jakimiś obiektywnymi problemami. Zdenerwowany poszedłem pod gmach MON. Tam prezentowane były zdjęcia wszystkich związanych służbowo ze służbami mundurowymi, którzy zginęli w Smoleńsku. Pod każdym zdjęciem była podobna wiązanka kwiatów i palił się taki sam znicz. Nikogo nie wyeksponowano. Część z nich w różnych sytuacjach miałem okazję zobaczyć, spotkać, rozmawiać. Szefa Sztabu Generalnego, generała Franciszka Gągora, widziałem na spotkaniu i poczęstunku w ogrodach MON, wręczał wówczas razem z ministrem ON dyplomy i suweniry osobom wpisanym do Honorowej Księgi Czynów Żołnierskich MON.

Stałem w szyku razem z wyróżnionymi i w imieniu chorego chor. Jacka Szpaka z Drawna odebrałem jako jego przełożony przyznane mu wyróżnienie. To, że major odbiera dyplom w imieniu chorążego, zostało zauważone. Doszło wówczas do kurtuazyjnej wymiany zdań. Minister wypytywał o zdrowie nieobecnego, a obok stał wzbudzający sympatię generał Gągor. Ten wizerunek generała potwierdza się we wspomnieniach wielu osób. Na tym spotkaniu byli także : zamyślony dowódca Marynarki Wojennej RP. wiceadmirał/ adm. Andrzej Karweta i gen. broni pil. Andrzej Błasik – dowódca Sił Powietrznych RP któremu w gronie lotniczej generalicji dopisywał humor. Ks bp. gen. dyw./ broni Tadeusza Płoskiego, katolickiego biskupa polowego Wojska Polskiego spotkałem cztery razy, każde z tych spotkań to oddzielna opowieść,

był w Drawnie w 2008 r., wtedy miałem okazję poznać również biskupiego sekretarza ks. ppłk /płk. Jana Osińskiego też ofiarę katastrofy. Ks. abp. gen. bryg./dyw. dr Mirona (Mirośław Chodakowski) prawosławnego ordynariusza Wojska Polskiego pierwszy raz widziałem na Świętej Górze Grabarce podczas uroczystości Przemienienia Pańskiego. Drugim razem w odpust św. Mikołaja w Soborze w Hajnówce, w tym samym Soborze widziałem go podczas festiwalu muzyki cerkiewnej. Natknąłem się na niego także zupełnie przypadkowo, gdy zwiedzałem Sobór, jego niespodzianym pojawieniem się byłem wtedy nie mniej zaskoczony od księży, którzy tam przebywali. W ogrodzie ministra Klicha abp. Miron był w sutannie, siedział na ławce z swoim podwładnym w stopniu pułkownika. Gdy robiłem im zdjęcie, uśmiechnął się i pokiwał głową.

Wróciłem pod Belweder, stała już tam kilkusetmetrowa kolejka. Trumna z Rosji przybyła

Krakowskie Przedmieście

Czas nagiął i spod Belwederu pojechaliśmy do Katedry Polowej WP. Było trochę czasu i poszliśmy na Krakowskie Przedmieście, tam stała niezmienna kolejka zmęczonych, lecz w większości wytrwałych ludzi. Ruch był mniejszy jak w nocy, a i zniczy przed Pałacem Prezydenckim pozornie wydawało się, że jest

W Katedrze Polowej

Gdy weszliśmy do świątyni, trwała Msza Święta żałobna w intencji dowódcy Garnizonu Warszawa gen. bryg./ pośm. gen. dyw. Kazimierza Gilarzkiego. Jego ciało do Polski jeszcze nie przybyło. W oczy rzuciły się dwa portrety generała. Jeden z czarną wstęgą na ramie stał oparty o ołtarz. Drugi mniejszy z kirem był na stelażu z prawej strony od ołtarza, w miejscu, gdzie zrobiono kompozycję żałobną, w której centralnie na podwyższeniach spowitych fioletowym materiałem postawiono zdjęcie Biskupa Polowego, a z prawej strony nieco niżej sekretarza ks. Osińskiego. Kolor fioletowy dominował, gdyż wyraża pokutę, jest symbolem pełnego nadziei oczekiwania, kieruje myśli ku wieczności będącej wypełnieniem chrześcijańskiej nadziei. Gdy nabożeństwo dobiegło końca, dwaj chłopcy ubrani w historyczne mundury 3 Pułku Szwoleżerów Mazowieckich im. płk. Jana Kozietulskiego podeszli do portretu i po oddaniu honorów wzięli go w ręce i z powagą wynieśli z kościoła. Generał

tu 15.04.2010 w czasie, gdyśmy byli w trasie, jadąc do Warszawy. 16 .04. po południu została przewieziona do kościoła Świętego Krzyża. Po czym po uroczystościach religijnych powróciła do Belwederu. Wystawiona została w Sali Pompejańskiej – w miejscu, w którym w maju 1935 r. była trumna z ciałem Marszałka Józefa Piłsudskiego. 19 kwietnia 2010 została złożona do krypty Panteonu Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej w Wilanowie. W 2012 okazało się, że w trumnie, której oddaliśmy cześć, leży były prezes Stowarzyszenia Rodzina Katyńska (autor słów pieśni Rodzin Katyńskich) Tadeusz Norbert Lutoborski, a nie Ryszard Kaczorowski, który od 27. 04. 2010 spoczywał w grobie rodzinnym Lutoborskiej. Po identyfikacji zwłok we Wrocławiu prezydent Kaczorowski spoczął w dniu 03.11.2012 w Świątyni Opatrzności Bożej.

mniej. Zapewne nadal świecił się tam nasz. Harcerze szybko usuwali te wypalone z minionych dni. W kolejce zauważyłem delegację szkoły z Choszczna. Na parkingu przy pomniku Mickiewicza ustawione były wozy transmisyjne z wielkimi talerzami anten wielu stacji TV i radiowych.

pochowany został 24 kwietnia w Kwaterze Smoleńskiej na Wojskowym Cmentarzu Powązkowskim, gdzie spoczywa wśród 28 ofiar. W kaplicy katyńskiej, będącej miejscem upamiętniającym 21 857 Polaków zamordowanych wiosną 1940 roku przez NKWD, stały dwie trumny z symbolami kapłaństwa, spowite biało- czerwonymi flagami. Złożono w nich szczątki biskupa polowego Tadeusza Płockiego i jego sekretarza ks. Jana Osińskiego. Na trumnie biskupiej położona była czapka generała broni wojsk lądowych, na który to stopień Biskup Polowy został pośmiertnie awansowany 15.04. Na drugiej leżała czapka oficera lotnictwa z trzema gwiazdkami biskupiego sekretarza, awansowanego na pułkownika 13.04. Trumna sekretarza postawiona została w katedrze 14.04. o g.19.30, czyli dzień szybciej niż biskupa. Czuwał przy nich posterunek honorowy wystawiony przez podchorążych pierwszego roku WAT, uczelni, w której ks. płk. Osiński przez rok studiował (także i mojej uczelni

). Trudno mi powiedzieć czy wadowcy stali tam ze względu na ks. Osińskiego, czy po prostu wyczerpały się reprezentacyjne możliwości wojska. Naprzeciw trumny biskupa Płoskiego klęczała pogrążona w głębokiej modlitwie, pełna bólu, starsza kobieta w żałobnej czerni. Pogrzeb Biskupa Polowego i jego sekretarza odbył się

Dzień Saperów

Powoli Katedra Polowa wypełniała się saperami, przybyła saperska generalicja, a wśród nich generałowie Żuchowski, Lalka i Tacik. Ci dwaj ostatni usiedli w naszej ławce, a nie z swoimi kolegami vipami. Msza Święta w intencji saperów przemieniła się faktycznie w mszę żałobną. Gen. Lalka postawił przy ołtarzu statuetkę zrobioną z odłamków zebranych podczas misji pokojowych. Miał to być prezent dla Biskupa Polowego. W krótkim wystąpieniu powiedział, iż wśród ofiar Smoleńska byli jego bliscy znajomi, każdego z nich wspominał z nieukrywanym smutkiem a ja wspominałem Dzień Papieski 15.10.2005 r., Był to pierwszy taki dzień po śmierci Jana Pawła II. Byłem tu w tej katedrze na uroczystościach z udziałem ks. bp. gen. Płoskiego, miałem spośród zgromadzonych i zwiezionych (z pułku dowodzenia) wiernych najwyższy stopień wojskowy, tj. majora. Co raczej niezbyt dobrze świadczyło o tych, którzy tłumnie zapelniali katedrę np. podczas biskupich imienin... Po wystąpieniu gen. Lalki Mszę Św. odprawił pełniący obowiązki biskupa polowego ks. płk Sławomir Żarski, wówczas etatowy wikariusz generalny Ordynariatu Polowego WP. Po wyznaczeniu nowego biskupa polowego, mimo że przeprowadził duszpasterstwo wojskowe przez

19.04.2010. Trumny na uroczystość pogrzebową wystawiono na Placu Krasińskich przy Pomniku Powstania Warszawskiego. przed Katedrą Polową Wojska Polskiego Po czym obaj spoczęli w krypcie Kaplicy Matki Bożej Ostrobramskiej zwanej Kaplicą Lotników Katedry Polowej.

niezwykle trudny czas, został przeniesiony na boczny tor, powrócił medialnie w 2018 r., otrzymał wtedy nominację generalską. Mimo że był to gest honorowy, to nominacja ta na pewno mu się należała. Gdy po mszy św. wychodziliśmy z Katedry Polowej, stali przed nią liczni żałobnicy oczekujący na kolejną uroczystość żałobną. My i pozostali saperzy pojechaliśmy pod pomnik saperów na Czerniakowie. Tam nastąpiło złożenie wieńca i zapaliliśmy znicze w intencji poległych na minach saperów, w tym z 41 bsap. i spoczywających w Borowym Młynie Wspomnieliśmy o nich odczytując ich nazwiska widniejące na umieszczonych przy pomniku imiennych tablicach pamiątkowych. Po krótkiej kurtuazyjnej rozmowie z gen. Żuchowskim (zmarł w wyniku tragicznego wypadku w 2019 r.), wróciliśmy na Plac Krasińskich. W katedrze trwały uroczystości pogrzebowe podsekretarza stanu w MON Stanisława Jerzego Komorowskiego, stanąłem na zewnątrz a po wyprowadzeniu trumny zaplanowałem, że pojedziemy na Pragę do prawosławnego Soboru metropolitalnego Świętej Równiej Apostołów Marii Magdaleny, gdzie miała stać trumna abp. Mirona.

Praga

Na miejscu okazało się, że trumny tu nie ma. Była w kaplicy ordynariatu prawosławnego pw. św. Bazylego Martysza na ul. Banacha. W soborze panowała głęboka cisza i chłód, stały tam dwa zdjęcia z żałobnym kirem - pary prezydenckiej i gen. Mirona. Ponieważ był już szczyt i musieliśmy w tym dniu pojechać do Drawna, a do tego nikt z nas nie znał na tyle Warszawy, by bez ryzyka kluczenia dotrzeć do Banacha, zdecydowałem, że wracamy. I prosto z Pragi udaliśmy się na słynną krajową 10. Ks. abp gen. dyw. Miron pochowany został 19 kwietnia na terenie monasteru w Supraślu. Siedem lat później,

w nocy z 24/25 kwietnia 2017, został ekshumowany, gdyż w jego w trumnie znajdowała się dolna połowa ciała biskupa polowego WP Tadeusza Płoskiego. Niestety nie udało się ustalić, gdzie znajduje się druga część arcybiskupa Chodakowskiego, jest prawdopodobne, że mogła zostać pomyłkowo spopiłona. Ponowny skromny jego pogrzeb odbył się 30 maja 2017. 15/16 kwietnia 2010 w kolejce do Pałacu Prezydenckiego stano 16 godzin. 18 kwietnia trumny pary prezydenckiej drogą lotniczą opuściły Warszawę.

Refleksje

Spośród ofiar smoleńskich, których znałem, był Aleksander Szczygło, nim został szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, był ministrem MON, ponieważ o umarłych się źle nie mówi, nie będę się na jego temat wypowiadał. W 2009 uczestniczyłem w obchodach 65 rocznicy likwidacji getta w Łodzi, była tam obecna para prezydencka oraz Janusz Kurtyka –prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Na posłankę Izabelę Jaruga-Nowacką natknąłem się, gdy szła obok prof. Nałęcza i Kazimierza Kutza w manifestacji równości w Warszawie, stałem wtedy w kontrprotestującej grupie prawicowej, co przypłaciłem utratą mojej torby z dokumentacją medyczną i osobistą. Mimo że były tam dane teleadresowe, nigdy jej nie odzyskałem. Sebastian Karpiniuk jako poseł przysyłał do jednostki w Drawnie życzenia świąteczne. Annie Walentynowicz – działaczce Wolnych Związków Zawodowych, która była współzałożycielką NSZZ „Solidarność”, zostałem przedstawiony podczas jej spotkania autorskiego w Warszawie

CZ II: Wina

Do napisania tej części zdecydowałem się po zobaczeniu zdjęcia matki kpt/mjr Arkadiusza Protasiuka – pilota tragicznego tupolewa. Kobiety skromnej i nie przywykłej do fleszy aparatów fotograficznych i politycznych salonów. Niestety i jak dotąd nie do końca wysłuchanej.

Śledztwo toczy się latami i tak naprawdę końca jego nie widać. Co chwila pojawiają się różne sensacyjne nowinki, które jego zakończenia nie przyspieszają. Odnosi się wrażenie, że trwa jakieś bujanie w obłokach. Tymczasem nie rozpatruje się podstawowej przyczyny wypadku, tj. pogody i stanu lotniska. O ile pogoda zmienną jest, o tyle stan lotniska, jeśli już ulega zmianom, to trwa to miesiącami. Stąd pytanie dlaczego fatalne pod względem technicznym lotnisko pod Smoleńskiem nie zostało rozpoznane pod kątem bezpieczeństwa, zwłaszcza, gdy lądowały na nim polskie samoloty rządowe ? Zrzucanie winy za stan lotniska na Rosjan ma o tyle sens, o ile dotyczy to otrzymania zezwolenia na lądowanie na nim obcych samolotów nie tylko tego feralnego dnia. Ale to nie Rosjanie, tylko Polacy to lotnisko

przez prof. Aleksandra Dawidowicza. Rozmawialiśmy kurtuazyjnie dosyć długo. Co do systemu informacyjnego odnośnie tego gdzie jaka trumna jest wystawiona to, praktycznie podczas tych dni żałoby w Warszawie było duże niedoinformowanie, o czym świadczy przypadek abp. Mirona, czy Macieja Płazyńskiego, którego szukałem i mimo ,że stałem koło Domu Polonii nie zorientowałem się, że jego trumna tam się znajduje. Trzeba przyznać ,że mimo tysięcy przyjezdnych porządek był niemal wzorowy, a kultura Straży Miejskiej , Policji Państwowej, harcerzy i wolontariuszy była wysoka. Cechowała ich powaga i uczynność. Nie lada osiągnięciem WP było zorganizowanie takiej ilości jednakowych trumien, o tych samych wyostrzonych wymogach sanitarnych. Niestety w okresie późniejszym ten wysiłek wynagrodzony został licznymi kontrolami i propagandowymi pomówieniami, podczas których nic z tych podłości nie potwierdzono.

wybrali i (jak wynika z notatek prasowych) doskonale wiedzieli, w jakim jest stanie. Wniosek nasuwa się jeden, że analizy bezpieczeństwa nie przeprowadzono, czyli nie spełniono wymogów rozpoznania. Tymczasem każdy dowódca pododdziału wie, że rejon, do którego ma się przegrupować, ma być rozpoznany i jeśli nie on to ma zrobić, to takowe rozpoznanie wykonują specjaliści zwiadowcy a dowódca otrzymuje z tego rozpoznania meldunek i podejmuje decyzje. Jeśli mimo stwierdzonego rozpoznania niebezpieczeństwa zapadnie decyzja o zajęciu rejonu i podczas wykonywania tego zadania stanie się coś złego, to dowódca, który takową decyzję podjął, ponosi za to odpowiedzialność, a nie właściciel terenu, na który przegrupowanie nastąpiło. Natomiast jeśli dowódca ze względu na istniejące ryzyko zrezygnuje z zajęcia wskazanego rejonu, to zawsze ma w zanadrzu wariant zapasowy. Stąd pytanie, czy takowy wariant był ustalony, czy dla tego fatalnego lotu wyznaczono lotnisko zapasowe, czy gospodarz tego lotniska o tym wiedział ?

Awans

Kpt. Protasiuk w chwili lotu miał 36 lat , w 1997 r. ukończył z wyróżnieniem dęblińską szkołę oficerską, czyli lecąc do Smoleńska był już 13 lat oficerem. Był także absolwentem politologii i studiów podyplomowych w WAT, ukończył wiele kursów specjalistycznych w zakresie pilotażu, po

prostu był mistrzem w swoim fachu. Sadząc po wysłudze lat, miał już ją na tyle dużą, że powinien zostać majorem. Ale nie był. Niestety był to okres, kiedy runęły stare zasady awansowania zgodnie z wysługą w danym stopniu. Awanse na oficerów w tym starszych wymagały odpowiedniego

stanowiska. Czy ktoś powiedział, jaki etat zajmował kpt. Protasiuk ? Uważam, że gdyby zajmował etat oficera młodszego, nie miałby za drugiego pilota oficera starszego, czyli majora. Sądzę więc, że miał etat oficera starszego. Jeśli się nie mylę, lot ten był dla niego wielką szansą na majorowski awans. Stopień ten jest ważny, gdyż stanowi przeskok do korpusu oficerów starszych i daje małe przywileje. Obecnie (tak też było w 2010 r.) kapitanowie często pełnią obowiązki, które ongiś wykonywali pułkownicy i dają sobie z

tym doskonale radę. Niestety, po kilku latach zasiedzenia bez awansu niesłusznie postrzegani są przez środowisko cywilne jako podpadziochy bądź nieudacznicy. Dlatego całe zastępy „wypłowiały” kapitanów czekają na swoją szansę . Kapitan Protasiuk nie był wprawdzie „wypłowiały” ale ryzyko nim zostania istniało. Ten lot dawał mu szansę, jakiej wówczas bardzo wielu kapitanów od lat nie miało, szansę awansu na majora w odpowiednim wieku.

36 Specjalny Pułk Lotnictwa Transportowego im. Obrońców Warszawy

Jednostka ta wchodziła w skład Sił Powietrznych i podlegała Dowództwu Sił Powietrznych. Przeprowadzone w niej kontrole stwierdziły liczne uchybienia, co nie pozostało bez wpływu na późniejsze decyzje i w grudniu roku 2011 pułk

został rozwiązany, kilku generałów zajmujących wysokie stanowiska straciło je. W odzwie społecznym nie było większych prób obrony ich dobrego imienia, choć gros osób potraktowało te kroki jako wyrok na tzw. „kozłach ofiarnych”.

Sprawa meldunku

Jeden z dowódców dywizji postanowił, że w jednej z podległych jednostek skontroluje przygotowania do świąt Bożego Narodzenia. I kontrolował, a trwało to niedługo, bo zaczął od najwyższej położonego pododdziału. Gdy tam wszedł, dowódca pododdziału zameldował mu pododdział gotowy do przeglądu. Pułkownik spytał dowódcę – kapitana: - Niech się obywatel kapitan zastanowi czy na pewno gotowy. Na to kapitan machnął ręką i odpowiedział "niech będzie gotowy" !!. Pułkownik się uśmiechnął i tu zajrzał, tam zobaczył i było wszystko pięknie aż zobaczył gwóźdź w ścianie. Gwóźdź zaskoczył także kapitana, bo wisiał na nim kaseton propagandowy, który raptem zniknął. Rozgorzała burza, która dla wszystkich oprócz pułkownika skończyła się o 22.00. Tak przez gwóźdź kadra tej jednostki miała umilony dzień wigilijny. Opowieść ta dowodzi, jak ważny jest w wojsku meldunek, gdyby kapitan zameldował kompanię podczas przygotowania do świąt, nic by nie było. Gdyby kpt. Protasiuk zameldował Prezydentowi RP samolot gotowy do lotu, to wzięłby za ten lot pełną odpowiedzialność, zrobił to jednak ktoś inny ze świadomością wagi swego meldunku.

Dlatego nie dziwi, że mógł być w kokpicie samolotu podczas lądowania. Uważam, że nie mają racji ci, którzy z faktu przebywania dowódcy sił powietrznych w kabinie pilotów czynią zarzut nadużycia, przekroczenia kompetencji , gdyż piloci byli jego podwładnymi, a i jako ich przełożony on za ten lot też odpowiadał. Jednak istnieje druga strona medalu, z czego przełożeni nie zdają sobie sprawy, jest to destrukcyjne oddziaływanie swoją osobą na podwładnych. Generalskie pagony i wysoka funkcja robią swoje. Po prostu obecność przełożonego o silnej osobowości i patrzenie wręcz na ręce podwładnym wykonującym trudne, wymagające koncentracji zadanie, może spowodować zupełne rozkojarzenie i wywołać cykl logicznych błędów. Podobne reakcje mogą nastąpić, gdy wykonawca słyszy uszczypliwe uwagi pod swoim adresem. W takiej sytuacji, gdy przełożony jest tuż - tuż i funkcyjnie odpowiada za działania podwładnych, wykonujący zadanie podświadomie przerzuca odpowiedzialność za to, co robi, na przełożonego, zwłaszcza, gdy ten ingeruje w sposób realizacji zadania.

Co by było gdyby

Przed szkoleniem przeprawy czołgów po dnie dowódca jednej ze szkolących się dywizji nakazał, by przed przystąpieniem do zajęć sprawdzić stan techniczny obiektu, na którym to szkolenie miało być przeprowadzone. Szef szkolenia jednej z brygad przyjechał nad obiekt i sprawdzając sprawność urządzenie do spuszczenia wody ze

zbiornika, w który czołgi miały wjeżdżać, stwierdził , że z powodu rdzy nie jest ono sprawne. Zapoznał się z instrukcją i przepisami bezpieczeństwa obowiązującymi na tym obiekcie, które wyraźnie zabraniały szkolenia w przypadku wystąpienia jakichkolwiek niesprawności. Tak też postąpił ów szef szkolenia. Efekt był taki, że

zrobił się krzyk, iż samowolnie zerwał szkolenie i pojawiły się wręcz zarzuty, że po prostu bał się jego, co było nieprawdą. Zaczęto nawet z tego szefa szkolenia szydzić. Jestem przekonany, że podobny los czekał kpt. Protasiuka, gdyby zrezygnował z próby siadania na tym lotnisku, spotkałyby go nieprzyjemności a ponadto na lata

utraciłby możliwość awansu. Może by w ogóle nie awansował. Siłą rzeczy to presja możliwości awansu a nie generał w kokpicie wpłynęła głównie na jego decyzje. Wniosek nasuwa się taki, że za katastrofę w smoleńsku winny jest awans.

Andrzej Szutowicz

PS. Katastrofa w Smoleńsku zakończyła królowanie w polskim rozkazodawstwie słynnego polecenia; „nic mnie to nie obchodzi, do rana ma być”(powiedziane było bardziej dosadnie), które w połączeniu z słynnym powiedzeniem gen. Dąb Biernackiego : „... w d. mam pana regulaminy” (odpowiedź padła :”a ja w głowie”) były niedostrzegalnymi przesłankami wielu niebezpieczeństw.

NA ROCZNICĘ ZAKOŃCZENIA WOJNY

Przechodniu zatrzymaj się przy żołnierza mogile
Spoczywa w niej w ciszy, w ziemi krwią polską zroszoną
Zmów modlitwę, wspomnij pełne heroizmu chwile
Drogę zmagania od Oki, a na Labie skończoną

Bronił Ojczyzny w tragicznym 39
Zgubiony w zimnej Tajdze nie trafił do Andersa
Wyzwolił Warszawę brał Berlin w 45
Z kuricą na czapce tu leży polski zwycięzca

Za wolność zesłanym, on w boju Boga niósł w sobie
Pomnij tę prawdę i przekaz nowym pokoleniom
Jemu też, jak innym Polska śni się w ciemnym grobie
W Dzień Zwycięstwa pokłońmy się ich żołnierskim ceniom



KAWALIERA

BIULETYN KOŁA NR 21
STOWARZYSZENIA SAPERÓW POLSKICH W DRAWNIE
IZBA HISTORYCZNA ZIEMI PEŁCZYCKIEJ W PEŁCZYCACH

73-220 Drawno, ul. Jeziorna 2. Tel. 500 358 148.

Redaguje Kolegium:

Redaktor naczelny: Andrzej Szutowicz; z-ca red. nac. Gerard Sopiński; dział sportowy: - Jerzy Wiewiórowski;
dział ogólny: - Marian Twardowski, Jan Brycki;
Redakcja nie odpowiada za opinie wyrażane przez autorów artykułów.